

# TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

## PRENUMERATA ROCZNA WYNOŚI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ”	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ”
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie .....\$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie .....\$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azji 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azji 2.50
PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIEN NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.	

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 13.

*Chicago, Ills., 23 Września, 1886 r.*

Rok III.

## DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Ochłonął książę z wielkiego przestrawu i osłabiony oparł się o drzewo, w tem uczuł że go ktoś mocno za rękę chwyta mówiąc:

— Cóżto to jest W. X. Mości?

— Nic, wcale nic, poczciwy Ruszczycu! — rzekł książę poznając naszego bochatera — tyś to pewno przez strzał tak trafny mnie od kalendarza a może i śmierci ocalił.

— Ale czym tylko W. X. Mości nie postrzelił, bom się o to bał najwięcej, widząc dzika blisko za jego osobą.

W tem nadbiegła królowa i wszystkie damy dworskie z jednej, a król z drugiej strony. Największy przestraw malował się na twarzach wszystkich niewiast. Z macierzyńską niespokojnością zbliżyła się do syna królowa; wybladła, i drżąca Marya badający wzrok na niego rzuci-

ła i ochłonęła dopiero, gdy jej Ruszczyc zaręczył, że księciu nic się nie stało.

— To było śmiało ale gracko — rzekł król dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie i sposobie ocalenia, trzeba mieć i rękę i serce pewne, żeby bez uszkodzenia królewicza dzika pod jego nogami zabić.

— Posiadam ja i jedno i drugie z łaski Boga — rzekł Ruszczyc spokojnie. — Ale to źle, że księcia tu samego postawiono.

— Wszakże zda mi się, Mondor był przy nim — rzekł król — a gdzież się teraz podział? —

— Jeżeli się nie mylę — odparł łowczy konny — musi być na drzewie, bo się tam gałęzie kołyszają. —

Na te słowa podnieśli wszyscy oczy do góry i spostrzegli zmieszanego dworzanina, który się właśnie zabierał do złażenia, i uwikławszy się ostrogą u bótów między gałęziami trzymał się ze strachem prawą ręką, a lewą sięgał po perukę która na wyższej gałęzi została.

— A wleźć tam po niego — rzekł król do nadbiegłych strzelców — bo i czuprynę i ostrogę na drzewie zostawi. —

Rozśmieszyło wszystkich to przykre położenie biednego Mondora i królowa nawet od śmiechu wstrzymać się nie mogła, a gdy go z pomocą dwóch strzelców na dół sprowadzono, rzekł przyszedłszy do siebie: iż się bardzo cieszy, że mógł nastreczyć powód do śmiechu dostojnemu państwu swemu, i zaręczył, że póki życia swego na dziki więcej polować nie będzie.

Ruszczyc zaś odbierał pochwały wszystkich, nawet najdoświadczeńszych sztrzelców. Królowa ze szczerą uprzejmością najżywsze składała mu dzięki, a król przyznał, że mu się prym w myśliwskiej sztuce należy.

Włożono na sanie ubitą zwierzynę, a na samym wierzchu łosia i dzika, jako najważniejsze w dniu tym myśliwskie zdobycze, i w pewnym tryumfalnym pochodzie wrócono do nowo założonej łowieckiej osady. Tam zastano już stoły zastawione, a król uchylając w tym dniu przepisy etykiety dworskiej przypuścił do stołu swego całe łowieckie towarzystwo, i sam przewodniczył wszystkim wesołością i spełnieniem kielichów za zdrowie najrzęczniejszych myśliwych, przy czem miał Ruszczyc tę wysoko przez siebie cenioną pociechę, że Najjaśniejszy Pan zdrowie jego spełnił.

Po skończonej uczcie rozweselony monarcha, chcąc nową wymyślić zabawę, podał myśl doświadczenia zręczności w strzelaniu z łuku, a będąc sam bardzo wprawnym w tego rodzaju ćwiczeniu, wyzwał wszystkich obecnych do wyrównania pod tym względem. Naprzód postawiono na wysokiej żerdzi ubitego na polowaniu sokoła, do którego wszyscy kolejno strzelali, po większej części próżne strzały puszczając na powietrze. Mało kto był taki, któryby królowi w trafności strzału do tego celu wyrównał; gdy jednak Ruszczyc jako niegdy rotmistrz hussarski (w którychto znakach łuk był w używaniu) równie zręcznie sokoła trafił, kazał król puścić żywego gołębia i ugodziwszy go w locie strzałą żądał, ażeby toż samo inni zrobili; a gdy pomimo usiłowania nikt królowi w tego rodzaju strzale wyrównać nie mógł, ucieszony tem monarcha rzekł:

— Spodziewam się, że mi nikt pierwszeństwa w strzelaniu z łuku nie odmówi; jestem tak pewny mojej ręki, iż gdyby był kto pomiędzy wami, któryby się nie bał trzymać w ręku jabłko o kilkadziesiąt kroków, idę o zakład, że je strzałą przesyję, i zaręczam że się trzymającemu nic nie stanie.

Spojrzeli wszyscy po sobie i każdy zdawał się szukać tego śmiałka, któryby się na to chciał narazić. Panowało na chwilę milczenie, bo nikt nie ufał do tego stopnia zręczności królewskiej, ażeby się miał na wyraźne niebezpieczeństwo okaleczenia narazić. Wtem dał się słyszeć głos niewieści, wystąpiła naprzód Marya i rzekła wznosząc jabłko do góry:

— Najjaśniejszy Panie! gdzież mam stanąć, oto jest jabłko!

Wszystkich oczy podziwienia pełne zwróciły się na odważną dziewicę. Ruszczyc zbliżył się ku niej i rzekł sięgając po jabłko:

— Na to ja nie pozwolę; mnie wypada JPanę podskarbiankę wyręczyć.

— Czemu nie? — odparł król — czy nie ufasz mojej zręczności? Gdybym był młodszym, możebym nie był tak pewnym mego strzału, bo by mnie wrażenie jej powabów oslepić mogło; ale teraz możesz bezpiecznie dozwolić, aby panna zawstydziła odwagą swoją tylu mężczyzn, którzy nie śmieli wypełnić mego wezwania.

Nie czekając dalszego skutku tej odpowiedzi, skoczyła lekko Marya naprzód w kierunku który jej król wskazał, pobiegła kilkadziesiąt kro-



ków i wzniosła wesoło prawą rękę z jabłkiem i od głowy je nieco oddaliła. Wtem wyskoczył z pomiędzy blizkich króla osób książę Jakób i pochwyciwszy lekko za ramię ojca natężaniem cięciwy zajętego, prosił go aby zaniechał próby, która dla Maryi tak niebezpieczną była.

— I ty także nie ufasz mojej zręczności? — zawołał król. — Dobrze to jest, że ciebie zajmuję los tak pięknej i dobrej osoby jak Panna Modrzejowska; ale ojcu własnemu więcej zaufać powinienieś. Usuń się na bok, czegóż mię trzymasz za rękę?

— Kochany ojciec — rzekł król wicz przyklękając przed nim — zaklinam cię na miłość ojcowską, racz zaniechać tej niebezpiecznej zabawy. Pomimo, największej zręczności twojej traf nieszczęśliwy . . . . to mówiąc schwycił króla za rękę i całował ją z pokorą.

— Bardzo cię widzę wdzięki Panny Modrzejowskiej zajmują — rzekł król uprzejmie. — Nie chcę cię trwożyć, niechże się stanie zadość twojej prośbie.

To mówiąc oddał łuk dworzaniowi, przywołał znakiem Maryą i dodał: —

— Nie chcę tu dozwolić, abym dał dowód mojej zręczności, ale tobie się moja Panno pochwała za odwagę należy, masz, prawdziwie męskie serce, nieodrodna walecznego ojca córko!

Z żywym rumieńcem na twarzy wróciła Marya na miejsce swoje, a książę Jakób z wyrazem najżywszej radości zbliżył się ku niej i strofował ją uprzejmie za śmiałość, z jaką się na niebezpieczeństwo narażała.

Po ukończeniu tych rozrywek, gdy bardzo pogodna pora jasną noc zapowiadała, postanowił król wrócić do stolicy, a gdy się zabierano do odjazdu, rzekł do łowczego koronnego:

— Panie łowczy koronny! dziękuję Waszmości za wesołe łowy, któreś mi przysposobił. Bardzośmy się wszyscy dobrze zabawili dla tego radbym zachować ślad miejsca, w którym kilka chwil przyjemnie przepędziliśmy, i życzę sobie ażeby założyć trwalsze wieśniacze budowy, któreby były pamiątką dnia tego. Niechże więc wydane zostanie pozwolenie budowania się w tej kniei chłopom ze starostwa, a mianowicie z pomiędzy tych, którzy przy dzisiejszych łowach użyćci byli.

— Oznajmię tę wolę W.K. Mości gdzie należy — odparł łowczy koronny — lecz czy

Najjaśniejszy Pan nie obierzesz nazwiska dla tej nowej osady?

— Ha — odparł król — ta osada powstanie z naszego myśliwskiego obozu, nazwijcież ją więc tak, żeby z tego jej powstanie poznać można było. Od tak np. Ubi campi nos fuimus.

— Stanie się zadość woli Najjaśniejszego Pana — odparł wielki łowczy koronny — i nowa osada może się Kampinos nazywać.

### ROZDZIAŁ XIII.

Mnie jakiegokolwiek czekają losy,  
Czy mi fortuna gotuje ciosy,  
Czy zamysła cieszyć mą biedę;  
Za przeznaczeniem spokojny idę.  
Mienią się lata, noc za dniem żenie,  
Ja się w miłości mej nie odmienię.

*Karpiński.*

Jużto gadajcie co chcecie — rzekł Kulik do innych dworaków, którzy z nim razem komin w mieszkaniu pana osiedli, i sięgnął po duży dzban piwa, który się grzał zdaleka przy ogniu — jużto gadajcie co chcecie, ale ta wasza Warszawa, którąście mi tak wychwalali, niewarta nigdy tego co ja już widziałem na świecie. Do ciebie Mikołaju!

— Pij z Bogiem — odparł Mikołaj — i cóżęsto takiego widział coby lepszem było od Warszawy?

— Com widział — rzekł Kulik i spojrzał po wszystkich z wyrazem szyderskim — cóżto? czy to ty nie wiesz, żem ja już nie z jednego pieca chleb jadał? żem z moim panem wojował po świecie? żem był w Wiedniu? wiesz, w Wiedniu, pod którym Dunaj płynie; a wiesz ty co to Dunaj?

— No i cóż, zwyczajnie jakaś Wisła, a może nie tak szeroka jak nasza.

— Ba, Wisła: co Dunaj to Dunaj, co Wisła to Wisła.

— Aleć tam pewno — ozwał się inny z dworaków — tak jak i tu woda a nie piwo płynie, a nasze pewno lepsze od tamtejszego. No Mi-

kołaju, przecięć nie nachylajcie tak dzbana do dna.

— Nie bój się — rzekł Kulik — wyjdzie ten, to będzie drugi, ja wam dostarczę bo mam z czego.

— A wiemy — odparł Mikołaj — od czasu jak was pan przybocznym hajdukiem zrobił, to wam i pieniędzy nie żałuje.

— Bo tak trzeba — rzekł Kulik — kiedy pan suto w zalotach występuje, kiedy się zabiera do wesela, to i słudzy jego szumieć powinni. Dalej bracia! wypijmy jego zdrowie, bo to dobry pan; dam wam czego lepszego. — Wstał i przyniósł z drugiej izby gąsiorek miodu, odetknął go, wznosił do góry i zawołał: — Niech żyje nasz pan kochany! — przyłożył do ust i ciągnął zwolna słodki napój szyjką, a wszyscy patrzeli z zazdrością rychło go odsadzi i innemu poda. Gdy kolejno gąsiorek wypróżniono, zasiadła gawiedź na dawne miejsca i Mikołaj rzekł dalej: Pan jak pan, ale pani jaka będzie to Bóg wie jeszcze.

— Zapewne — dodał inny — bo kiedy pani zła, to pańska dobroć nie nada.

— Cicho! — rzekł Kulik tupając nogą — z respektem mówić o państwie. A wam co do tego? jaka będzie taka będzie, a dość że pani nasza i kwita.

— A kiedy tam będą gody weselne? — zapytał Mikołaj — wy to przecie musicie wiedzieć Kuliku, bo czegożby wam Pan nie powiedział! A jabym rad żeby to wnet było, bo się to człowiek przy weselu jako tako obłowi.

Wtem usłyszano hałas w poprzedzającej izbie; niezadługo otworzyły się drzwi szeroko i Ruszczyc wszedł, a za nim strzelce niosąc strzelbę, inne porządki myśliwskie i kły ubitego odyńca, które na stole położył. Porwali się przelęknieni dworacy, runęły ławki do komina przystawione, i wszyscy na groźne spojrzenie pana wymknęli się co żywo z izby, wyjąwszy Kulika, który schowawszy za kupę drzewa dzban i gąsiorek zbliżywszy się do pana, odebrał od strzelca przyniesione przez niego rzeczy i sam z panem pozostał.

Ruszczyc, nic nie mówiąc, wskazał Kulikowi na krzesło, które mu miał do komina przystawić, usiadł na podanem, pokręcał zwolna wąsa i ponuro na płomień patrzył. Kulik, który wiedział dobrze że to były oznaki jakiegoś fransunku lub niechęci pańskiej, odstąpił na palcach

i stanął przy drzwiach, opierając się o ścianę, której sąsiedztwo tym mu było potrzebniejsze, że miód i piwo jakieś pomieszanie w jego wyobrażeniach zdziałały. Po chwili milczenia czując niepohamowaną chęć gadania, zbliżył się Kulik na palcach do stołu, wziął kły do ręki i oglądając je rzekł: — Czy go Wielmożny Pan sam zabił?

— A któż inny — odparł Ruszczyc — pocóżbym te kły chował!

— A gdzież on sam jest? dobrzeby było mieć choć skórę.

— Cóżście tu wszyscy w mojej izbie robili? — rzekł gniewnie Ruszczyc.

— Nic — odpowiedział nieśmiało Kulik, prostował się jak mógł i otwierał oczy zmrużające się mimowolnie.

— Ale tobie się coś język płacze i oczy masz szklanne — rzekł, surowo na niego patrząc Ruszczyc.

— To za zdrowie pańskie — odpowiedział Kulik, kłaniając mu się do nogi.

— Za moje zdrowie się spił hultaju!

— A tak — rzekł Kulik kiwając głową — i prócz tego za zdrowie przyszłej pani naszej.

Na te słowa zerwał się raptownie Ruszczyc z krzesła, spojrzął na Kulika, który ze strachem aż do drzwi się cofnął, i nic mu nie odpowiadziawszy dużymi krokami po pokoju chodzić zaczęł. Po chwili milczenia zatrzymał się raptownie we środku izby i rzekł do Kulika: — Czy wiesz gdzie mieszka Pan koniuszy nadworny?

— Wiem, Wielmożny Panie — rzekł zbierając wszystkie siły swoje Kulik.

— Biegaj „ex nunc” do niego, proś aby mnie zaraz nawiedził jeżeli może, i powiedz że nagłą mam do niego potrzebę.

— Szybko wytoczył się za drzwi Kulik, rad temu, że w tym stanie niepewności na nogach miał sposobność zejścia z oczu gniewnemu panu.

Przybył po niejakiem oczekiwaniu Jordan i rzekł wchodząc do Ruszczyca: — Przybiegam skwapliwie na twoje powołanie, alem się przeląkł, bom rozumiał że cię w jakim niebezpieczeństwie zastanę, tak mnie naglił twój posłaniec.

— W niebezpieczeństwie może, ale we fransunku pewno; a kiedy mnie co dolega, zwykłem szukać ulgi u przyjaciela i zasięgnąć jego rady.

— Cóż ci to? czy ci się co na łowach rnie powiodło? czy król niełaskaw na cię?



— Łaski mam aż nadto wiele ze dworu, a wiesz dobrze, że łowy były dla mnie pomysły; ale ja ledwom sam nie złowion.

— Jakto? nie rozumiem tego.

— Ot, siądźmy sobie przed kominem; słuchaj co ci powiem. Ale naprzód nim rozpocznę, mów otwarcie, czy nie dostrzegłeś kiedy jakiej preferencji królewicza dla Modrzejowskiej, jakiej inklinacji tejże dla królewicza?

— Hm, trudne to zagadnienie. U dworu wiele się widzi i słyszy, o czem się nie zawsze mówić godzi.

— Więc się wiele widziało i słyszało; rozumiem.

— Ja tego nie mówię, i broń mię Boże,

ażebym miał jakie fałszywe suspicje wzniecać.

— Bez ogródek powiedz szczerze, tak jak przyjaciel przyjacielowi; mnie wiele na tem zależy.

— No, kiedy tego żądasz, to powiem, że mi się zdaje, iż jest jakieś wzajemne upodobanie między nimi i nic więcej. Ale ty, jakżeś się o tem dowiedział? bo cię ostrzegam, jeżeli przez plotki to nie wierz niczemu, bo są tacy którzyby ciebie od cnotliwej Maryi odstręczyć chcieli.

— Plotek ja nie słucham i nie daję im wiary, lecz co oczy widzą, temu wierzyć muszę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

---

# HISZPANKA

— CZYLI —

## ŻONA SKAZANEGO NA ŚMIERĆ.

POWIEŚĆ.

*P. P. W. Hr. Rozdr.....*

---

### ROZDZIAŁ I.

#### Niedobrana para.

Do hotelu miasta pewnego pod Saragossą (w Hiszpanii) zajechała karetka podróżna. Przed bramą stała gromadka ludzi gapiących się na ruch uliczny, a zagląających niekiedy ciekawie do wnętrza hotelu, gdzie wrzało jak w ulu.

Przytem wesolą bawili się gawędką, do której należał także sługa zajezdny.

— A! skaranie Bozkie! — zawołał, zobaczywszy nadjeżdżający powóz — znowu goście, co się chcą przyjrzeć jutrzejszej egzekucji. Tak to bywa, gdy wielkiemu panu głowę mają ścinać z karku....

— Daj pokój podobnym uwagom, zgromił go ktoś z tłumu.

— Cóż chcecie? małoż to obcych grantów (panów) się nazjeżdżało? a wszyscy jedynie dla tego....

Nie mógł dokończyć, gdyż czas było przystąpić do powozu.

Na odgłos dzwonka wybiegło z hotelu kilku sług z gospodarzem na czele, dla powitania gości.

Służącego nie było przy karecie. Wysiadła z niej najprzód panna służąca, ubrana popielato, jakby w cienkiej żałobie; trzymając jej się za ręce, wyskoczył potem na ziemię chłopiec mniej więcej lat pięciu: śliczne dziecko o jasnych włosach. Następnie podano jej z wewnątrz powozu małe śpiące dziecko, ledwie rok mieć mogące. Wzięła je troskliwie na ręce, aby się nie przebudziło.

W końcu wysiada piękna kobieta w kwiecie wieku, bladego oblicza, na którym ciężkie malowało się zmartwienie i głębokiej boleści wyryte były ślady — ale wysoka, wzniosła jej postać nie ugięła się pod brzemieniem boleści — z oczu czarnych, pełnych ognia strzelał wyraz szlachetnej dumy — błyszczały zapał i energia, zdolne dokonać najtrudniejszych czynów. Była w grubej żałobie — jakby wdowa.

Smutne spojrzenie rzuciwszy po ciekawie zgromadzonym tłumie poszła do hotelu. W samych drzwiach spotkała się oko w oko z dwoma panami, należącymi, jak to po wyniosłej, dumnej ich postawie i imponujących manierach poznać można było, do wysokiej arystokracji. Ubrani byli niby wykwintnie, a jednak ubiór ich okropnie był zaniedbany; wtenczas to lubiła hiszpańska szlachta ukazywać się publiczności w strojnym negliżu, mówiąc niby:

— Patrzcie! gdybyśmy chcieli moglibyśmy się ubrać, ale czyż to warto dla pospólstwa?

Było to w roku 1811 w czasie największego poniżenia Hiszpanii pod srogiem jarzmem francuzkiem. Dwaj dostojni panowie poznali obcą damę i dama ich poznała. Obydwaj gorącym oblali się rumieńcem i zaambarasowali się widocznie pomimo swej dostojności. Byliby chętnie się wrócili, ale już nie mogli się cofnąć bez ublżenia kobiecie. Złożyli więc głęboki, ceremonialny ukłon; — dama przeszła obok nich, zmierzwszy ich wzrokiem cichego, bolesnego, a przystem dumnego wyrzutu. Panowie weszli w ulicę; zdawało im się bardzo na tem zależeć, aby się prędko oddalić.

— Fatalnie, mój baronie! rzekł jeden z nich do drugiego.

— W ogóle całe to spotkanie jest fatalnem. Sądzę, ta naumyślnie chciała z nas sobie zażartować. Co za żarty ci panowie mogli mieć na myśli, zwłaszcza ze względu na kobietę głębokim smutkiem przejętą w grubej żałobie.

Gapiący się przed hotelem patrzeli za damą.

— Ta z pewnością po to nie przyjechała, aby widzieć jak komu głowę ścinają.

— Nie można wiedzieć, przecież wiadoma, że on ma — żonę i dzieci.

— Jakto? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że to mogą być jego żona i dzieci, którzy po raz ostatni chcą się z nim widzieć i przed śmiercią pożegnać.

— Kogo? — tego straceńca?

— Właśnie tego!

— Ojcie Niebieski! Taki okrzyk zgrozony wybiegł z ust wszystkich. Jedni poszli spokojnie do domu; ci co zostali patrzeli wystraszonymi oczyma w okna hotelu, jakby za bładem obliczem nieznanym damy, ale patrzeli napróżno. Nieznajoma już zniknęła wewnątrz hotelu.

— Proszę o dwa pokoje obok siebie, rzekła do posługującego chłopca.

— Żałuję bardzo, ale takie pokoje są już tylko na trzecim piętrze.

— Nic nie szkodzi, to proszę mnie tam dotąd zaprowadzić.

Poszli na trzecie piętro. Sługa usprawiedliwiał się, że ją tak wysoko fatygować musi i zaczął rozprawiać:

— U nas dziś bardzo dużo gości. Z prowincyi sąsiedniej jest cała wysoka szlachta. Mają tutaj ważny zjazd. Król chce chłopów uwłaszczyć i znieść pańszczyznę, jak to w królestwie westfalskiem już dawno zaprowadzonym zostało. Na to ci panowie nie chcą pozwolić i postanowili naradzić się jakby temu zapobiedz. Słuchałem pode drzwiami, gdy właśnie jeden z nich stawiał wniosek, aby wszystkich ogłosić zdrajcami Ojczyzny, co by na to przystali!...

— Samoluby! — szepnęła do siebie dama. Wygadany chłopiec mówił dalej:

— Prócz tego wielu obcych gości przybyło, aby być obecnymi jutrzejszej egzekucyi. Jaśnie pani słyszała pewnie, że jutro tu będą tracić jakiegoś granda z Saragossy. Uknuł on spisek i wraz z inną szlachtą chciał zrobić powsta-



nie przeciw naszemu królowi Józefowi\*). Gdy spisek się nie udał, wszystko pouciekało, tylko jego samego schwytali, i to w tym właśnie momencie, gdy chłopów namawiał do powstania i chciał ich prowadzić do miasta. Jest skazany na śmierć. Kat też już przybył. Jest to wysoki, przystojny mężczyzna, to jest ów kat; ale ciarki człowieka przechodzą, gdy się na niego spojrzy.

Nieznajoma lekko drgnęła i konwulsyjnie uchwyciła się poręczy schodów, aby nie upaść. Błade jej oblicze stało się jeszcze bledszem. Służąca z wzrastającym niepokojem na nią patrzyła. I ona ogromnie zbladła, a śpiące dziecko drżało na jej ręku. Śliczny chłopczyk skakał wesoło po wschodach, nie znając co to troska. Zaszli wreszcie na trzecie piętro i sługa wskazał nieznanym dwa pokoje.

— O której godzinie będzie jutro egzekucya? spytała go dama.

— Około szóstej, przed wschodem słońca.

Kazała mu odejść; poczem wyczerpawszy ostatnie siły, rzuciła się na kanapę. Strumień łez trysnął nagle z jej oczu.

Chłopiec widząc, że płacze, przystąpił do matki.

— Ty płaczesz, mamó, a przecież powiedziałaś, że się z ojcem zobaczymy; czy nie ujrzymy już ojca?

— Ujrzymy go, moje dziecko. I przycisnęła syna do serca.

— O, cóż za straszne ja chwile przechodzić muszę, jęknęła.

Potem wstała, chłopca puściła, ręce pobożnie złożyła, i oczy wzniosłszy ku niebu, zaczęła się modlić:

— Panie, który jesteś w niebie, nie odstępuj mnie biednej, udziel mi siły, abym wytrwać mogła i dokonać tego co zamierzam.

Stała tak pokornie podczas krótkiej a rzwanej modlitwy, pełna ufności, że Bóg ją wysłucha. I ufność ta w Bogu jakby cudem pokrzepiła jej duszę — mocna wiara i nadzieja zbudziły ją z chwilowej niemocy i stała się znów, jak dawniej, silną niewiastą.

Lekkie stuknięcie do drzwi odezwało się, sługa wszedł do pokoju.

— Przepraszam, czy jaśnie pani jesteś hrabiną Gonzales?

— Tak jest; dla czego o to pytasz?

— Pan hrabia Silva i jeszcze dwaj panowie kazali zapytać, czy mogą złożyć pani swe uszanowanie? Należą oni do tych panów, co na dole mają zgromadzenie i właśnie stali przy oknie, gdy jaśnie pani przyjechała.

— Powiedz tym panom, że ich każę prosić, — odrzekła po krótkim namyśle hrabina. Poczem po wejściu sługi ubranie podróżne na prędce poprawiła i rzekła do służącej:

— Anno! wyjdź z małą do drugiego pokoju. — Chłopca zatrzymała przy sobie i tak oczekiwała zapowiedzianych gości.

Weszło trzech panów. Należeli oni do owej arystokracji sąsiednich prowincyi.

— Pani! — zaczął hrabia Silva — co za nieszczęsny przypadek każe nam się tu spotkać.

Hrabina przerwała mu z gorzką ironią:

— Przypadek, panie hrabio? — O, jakąż to hańba, że hiszpańska szlachta, że kwiat rycerstwa całego kraju musi to uważać za przypadek, jeżeli przed ich oczyma mordują jednego z ich grona na rozkaz obcego despoty.

Ale panowie mają racyą; tylko przypadek was tu sprowadza, a nie odwaga! — Lecz czegoż życzyście sobie odemnie?

— Przychodzimy wyrazić pani nasze najżywsze współczucie.

Tu dama przerwała z dumą:

— Dziękuję bardzo. Rzeczywiście mam ciężki krzyż do dźwigania. Na niczyję pomoc liczyć nie mogę, a że w przeciągu tych kilku godzin mam jeszcze dużo i to z niemałym trudem do wykonania, więc muszę przeprosić, że... panów pożegnam.

Panowie zrozumieli co znaczyło takie pożegnanie, czuli przecież słuszność wyrzutów nieszczęśliwej kobiety.

— Ach pani! — czyż tu pomoc ludzka jest możebną?

— Mój panie! — przerwała hrabiemu po raz trzeci — wszystko jest możebnem, czego honor i obowiązek nie zabraniają, a obowiązek jest czynić to co honor i odwaga nakazują. Wy, moi panowie, uważajcie to za ublżenie waszemu honorowi, jeżeli na waszych dobrach odbierają wam niektóre przywileje i macie odwagę żądać za to wynagrodzenia. Ale żeby się ująć za jednego z braci, co chciał Ojczyznę z obcej tyranii — z francuzkiego despotyzmu uwolnić, tego wy nie uważacie za obowiązek swego honoru,

\* ) Gdy Napoleon Iszy podbił Hiszpanię, narzucił jej na króla swego brata Józefa.

na to nie macie odwagi, i tutaj wydaje wam się pomoc ludzka niepodobną. Dziękuję wam raz jeszcze za wasze współczucie.

— Pójdź, moje dziecko, mój biedny Karolu, pójdziemy do ojca. Ty jeszcze nie umiesz przysięgać; ale ja, podczas gdy on będzie cię trzymał w objęciach i raz ostatni do serca przycisnie, ja za ciebie złożę przysięgę, że pójdiesz w ojca ślady, że jak on kochać będziesz tę ziemię, na której się urodziłeś i wszystko dla niej poświęcisz.

Panowie odeszli.

— To jest nieszczęśliwa kobieta, trzeba jej dużo wybaczyć — przemówił Don Silva do kolegów, wzruszając ramionami. Jeden z jego towarzyszy jeszcze silniej wzdrygnął.

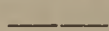
— Nie zapominajmy o tem — rzekł — kochany hrabio — że ona nie pochodzi z naszego stanu.

— Ojciec jej był tylko nadleśnym, potwierdził drugi towarzysz — Don Gonzales zawarł tak zwany mezalians, czyli niedobrane małżeństwo.



## ROZDZIAŁ II.

### Ciężka droga.



Hrabina Gonzales przechadzała się szybkim krokiem po pokoju. Była niespokojną, ale nie dla tego, aby w nieszczęśliwym położeniu braku jej postanowienia lub odwagi do jego wykonania; — owszem, od dawna już powzięła była zamiar silny, — a mężne jej serce burzyło się z niecierpliwości, aby go jak najprędzej wykonać ale przygotowania nie były jeszcze ukończone i za czemś czekać musiała. Czekać, gdy w duszy wre niepokój o życie najdroższej istoty, gdy tu każda chwila droga, a jeden moment stanowić może o życiu lub śmierci ukochanego męża? Cóż za okropna dla kobiety męka!

Było już dobrze z południa, gdy drzwi się otworzyły i człowiek w sędziwym wieku wszedł do pokoju. Z pierwszego wejrzenia wydawał się być służącym; na pocziwej jego twarzy wylane były wierność i szczerze przywiązanie do pani, ale zanadto prosto stał przed nią i zbyt śmiało w oczy jej patrzył, żeby go można było wziąć za zwyczajnego sługę. Człowiek o tak krzepkiej, silnej postaci mógł tylko wyrość w lesie, w lesie się zestarzeć i pozostać pomimo starości dotąd czerstwym i żwawym. Ojciec hrabiny był nadleśnym królewskim, ten stary człowiek był więc zapewne strzelcem, który w jego usługach zesiwał, a następnie przywiązawszy się do młodej swej pani, którą na kolanach wypiaستował, nie chciał jej opuścić w nieszczęściu. Hrabina spojrziała na niego wzrokiem pełnym oczekiwania. Oblicze jego zwiastowało obok cichego smutku i nadzieję.

— Jakże, mój Joachimie, czy przynosisz dobre nowiny?

— Tak sędzę, Wielmożna Pani. Powozy czekają na pewnych miejscach.

— Nieprawda, wszak trzy?

— Tak jest: jeden stoi o dziesięć minut drogi za miastem w lasku, drugi o milę dalej, trzeci znów o milę dalej.

— O woźnicę, czy tylko trafią jeden do drugiego?

— Wszystko im dokładnie opisałem; nie mogą się pomylić. Zresztą ja sam wszystkiego dopilnuję.

— A jak się przedostanie przez granicę?

— Wyszukałem takie przejście, gdzie granica nie jest strzeżoną.

— Nie znalazłeś przecież nigdzie nic podejrzanego.

— Nigdzie; nic a nic się nie domyślają.

— Dobrze — a zatem o dziesiątej wieczorem.

— O w pół do dziesiątej będzie wszystko gotowe.

— Więc chodźmy; — ty pójdiesz z nami, Joachimie, przez drogę przyjrzyś się dobrze miejscowości.

Wzięła szal i kapelus, zawołała na służącą i dzieci z drugiego pokoju i puścili się w drogę. Naprzód szła hrabina, trzymając za rękę pięcioletniego chłopca, potem służąca z dzieckiem, na końcu stary Joachim. Była to dla nich droga



bardzo przykra, najprzykrzejsza, jaką kiedykolwiek kobieta z dziećmi odbyć może. Szli bowiem do więzienia, gdzie znajdował się mąż tej kobiety, skazany wyrokiem sądu za zdradę kraju na śmierć z ręki kata. Jutro rano będą go tracić, ma więc do życia ledwo godzin dwana-

ście. Żona szła do niego, aby się z nim pożegnać, pożegnać na całe życie; przyprowadzała mu dzieci, które miał ujrzeć i uściskać po raz ostatni.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## GAWĘDZIARZ.

W A Ż.

(Dokończenie.)

I zagrali pasterze smutno i wesoło, naprzód wszyscy razem, a zaś potem po jednym, każdy pasterz grał z osobna — a jeden z nich ostatni, ale najwdzięczniejszym głosem, wyraźnie grał taką pieśń:

Graj pastuszku graj,  
Bóg dopomagaj —  
Starsza siostra mię zabiła,  
Marnie duszyczkę zgubiła,  
Za kłębuszek mgły! —

— Co to za pieśń? — rzekła matka ugodzona w serce swoje macierzyńskie.

— Co to za pieśń? — rzeknął ojciec i z nim goście.

Po czem matka oglądając fujarkę, zkądby jej pasterz nabył, pytała — a pasterz odpowiedział:

— Tam na łące, niedaleko czystego źródła pod borem, na nieznaczej mogile stoi płacząca wierzba — z owej to wierzby wykręciłem tę fujarkę.

I matka przytknąwszy do ust fujarkę, grała:

Graj matulu, graj,  
Bóg dopomagaj,  
Starsza siostra mię zabiła,  
Marnie duszyczkę zgubiła,  
Za kłębuszek mgły! —

Ojciec zdziwiony porwał fujarkę, nadał, a fujarka grała:

Graj tatulu, graj,  
Bóg dopomagaj,  
Starsza siostra mię zabiła,  
Marnie duszyczkę zgubiła,  
Za kłębuszek mgły! —

Zdziwieni sąsiedzi i goście, jednym fujarki tonem, po jednym próbując, grali:

Graj sąsiedzie, graj,  
Bóg dopomagaj,  
Starsza siostra mię zabiła,  
Marnie duszyczkę zgubiła,  
Za kłębuszek mgły! —

Podano potem fujarkę urodnemu paniczowi panu młodemu, a fujarka mu zagrała pieśń:

Graj kochanku, graj,  
Bóg dopomagaj,  
Bo gdym wodę z źródła brała.  
W ten czas ci ślubowała.  
Ze twoją będę. —

Graj kochanku, graj,  
Bóg dopomagaj,  
Bo mię siostrzyczka zabiła,  
Marnie duszyczkę zgubiła,  
Za kłębuszek mgły. —

Graj kochanku, graj.  
Bóg dopomagaj.  
Bo ja leżę w mogileczce,  
Sypiam w zimnej pościółeczce —  
A nademną wierzba płacze.

Graj kochanku, graj,  
Bóg dopomagaj —

Panicz urodny przestawszy grać, swej niby narzeczonej fujarkę podał, a fujarka grała:

Graj siostrzyczko, graj,  
Bóg dopomagaj,  
Boś mię niewinnie zabiła,  
Marnie duszyczkę zgubiła,  
Za kłębuszek mgły!

Siostrze zbójczyni fujarka z rąk upadła, wszyscy zdziwieni milczeli. — Wtem pogodny wieczór zasępił, gruby obłok zakrył niesiąc, gwiazdy, i niebo całe — coraz ciemniej — a urodny panicz do Marychny zbójczyni rzecze:

— Już ciemno, już na mnie czas, gdzie moja węża powłoka?

A ona zamiast mu oddać skórę jego, tak, jako jej siostra oddawała wiernie, aby urodziwy jej przyszły mąż, nie przedziergał się więcej z czełka na węża, w palący się ją ogień na kominie wrzuciła.

Jak ta skóra zaczęła się w ogniu smażyć i palić, okropne męczarnie cierpiący młodzieniec, wyrzekł tylko:

— O przekłeta zbójczyni, przez ciebie jeszcze rok cierpieć muszę — jak oparzony z izby wybiegł i zniknął.

A było coraz ciemniej, i coraz grubszy obłok zakrywał niebo, aż kiedy strasznie zagrzmiało, kiedy ten obłok na w pół się przedarł — uderzył piorun.

Zadrżeli wszyscy w izbie przytomni i zaczęli się modlić.

Po uderzeniu gromu, wyjaśniło się, ciemny obłok okrył niebo, patrzą po sobie ojcowie, goście, sąsiedzi i dziwią się na nowo, bo między niemi, nie masz owej zbójczyni — i nigdy jej nie widzieli — tylko jeszcze powiadają, że o północnej dobie, na łączce, niedaleko czystego źródła pod borem, około niskiej mogiły, gdzie wierzba wiatr powiewa, biega widmo w bieli i razem z wichrem śpiewa.

Graj pastuszku, graj,  
Graj matulu, graj,  
Graj tatulu, graj,  
Graj sąsiedzie, graj,  
Graj kochanku, graj —  
Ja młodszą siostrę zabiła.  
Marniem duszyczkę zgubiła.  
Za kłębuszek mgły. —

Spiewać „Bóg dopomagaj” ona nie może, bo jej niegodnemi usty, nie wolno wymienić Boga, aż do sądnego dnia.

(Koniec).

## TRUPIA GŁOWA.

Jeden niby filozof, ni głupi ni mądry, a rzeczywiście półgłówek, następujące kiedyś miał zdarzenie.

Był to organisty wnuk, w domu jego rodziców, po zmarłym dziadku pozostało się kilka obdartych ksiąg — długo one leżały na zgniłej półce, myszy i szczury szperały w nich długo — aż młody wnuczek powróciwszy z miasteczka i to ze szkoły, przez nabytą mądrość swoją, okurzył księgi owe i odczytał z *końca do końca*. — W tych księgach doczytał się o filozofii — on chciał zostać filozofem. — A izby całym był filozofem, w izbie swej urządził bibliotekę, poszedł na cmentarz, przyniósł trupa głowę i nią bibliotekę swoją przyozdobił. — Nadszedł zaduszny dzień — filozof po nabożeństwie wrócił do domu, a po obiedzie i kolacyi poszedł spać. W najlepsze sobie w nocy śpi, aż tu do niego przychodzi bez głowy mara, kościstą wyciąga rękę, na jego oczach kładzie dwa zimne skościałe palce; on się przebudza, a mara znika.

Jak się filozof zbudził widział dokładnie, że owa mara pod pachą niosła trupa głowę — i od tego czasu wnuk organisty był smutny i łzami zalany — i tak wiele płacząc lat, smutny poszedł do grobu.





# A n i o ł   P a ń s k i .

## POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

Piotr spojrzął na żonę, ta zrozumiała jego spojrzenie, wstała i pierwsza poszła się spowiadać, przez co zyskał jeszcze parę minut zwłoki. Ale spowiedź Piotrowej niedługo trwała, bo uczęszczając często do Sakramentu Pokuty św., a żyjąc przytem pobożnie, nie miała się wiele czego spowiadać, ani też spowiednik nie potrzebował wiele jej prawić nauk. Pojednawszy się więc z Bogiem, odstąpiła od konfesyonału; przyszła kolej na Piotra.

Biedny Piotr ciężko sobie westchnął, jakby miał iść na męki, wstał i powolnym, jakby niechętnym krokiem zbliżał się do trybunału Miłosierdzia Bożego. Szedł, bo już nie mógł się cofnąć, ale gdyby tylko można, toby jeszcze pewnie był się wymknął z kościoła. Dosyć, że chętnie, czy niechętnie przystąpił do Spowiedzi św. Ojciec Gaudenty przeżegnał go, przyłożył ucho do kratki, zasłonił się stułą i zaczęła się Spowiedź.

I długo jakoś trwały szepty między grzesznikiem a spowiednikiem; minął kwadrans jeden, mija kwadrans drugi, a oni jeszcze szepcą a szepcą. Nareszcie Ojciec Gaudenty dobywa chustki, nos sobie wyciera, że aż po całym rozlega się kościele, powoli, jakby zamysłony zażywa tabaczki, — znać że zbroi się i siły zbiera do silnego szturm.

Oj! źle ci będzie panie Piotrze, już się Ojcu Gaudentemu nie wyślizniesz, bo jak on się na kogo uweźmie, to nie ustąpi, póki go Bogu nie zdobędzie! — I otóż teraz już nie szepty dola-

tuja uszu modlącej się na uboczu Piotrowej, — ale coś jakby szlochanie, czy głębokie westchnienia, a serce jej ledwie nie wyskoczy z radości, boć to znak oczywisty, że jej Piotra łaska Bożka skruszyła i w samo serce ugodziła.

Nareszcie Ojciec Gaudenty odchrząknął widać że skończył Spowiedź, przeżegnał Piotra ze skruchą bijącego się w piersi, zakołatał w konfesyonał i Piotr powstał, odetchnął, jakby mu ktoś młyński kamień z serca był zwałił, zbliżył się do żony, spojrzął na nią okiem załzawionem jeszcze, ale w tem oku była taka radość, takie zadowolenie, takie szczęście, jakby nie na ziemi się znajdował, ale do nieba już był przeniesiony. Ach! bo też nie ma szczęścia na świecie, jak szczęście grzesznika, kiedy z Bogiem się pojedna, boć wszakżeż i w niebie nawet największa Aniołom i wszystkim Świętym radość, kiedy dusza, będąca już w mocy szatana, wraca do Ojca swego Niebieskiego!

Tymczasem słońce było wešlo i rzucało jasne promienie przez okna do wnętrza kościoła; ludzie po troszę zaczęli się gromadzić w świątyni; tu w kąciku jakiś dziadek głośno szepce pacierze; tam przy drzwiach stara jakaś babinka spuszcza jeden po drugim paciorki na orzechowej koronce, tu i owdzie widać i w ławkach parę osób modlących się. I na dworze już więcej życia; dochodzi uszu turkot wozów, krzyki sprzedających i gwar przechodniów. W tem zadzwonił dzwonek zawieszony przy zakrystyi, wychodzi Msza św.

Na odgłos dzwonka Piotr jak długi rzuca się na ziemię, wyciąga ręce na krzyż i korząc się w prochu, przeprasza Boga za tysiączne swe wykroczenia. Obok niego rzuciła się krzyżem na ziemię żona jego, dziękując Bogu za okazane nad mężem miłosierdzie i prosząc o łaskę wytrwania dla niego. I tak leżeli oboje przez całą Mszę św., ukorzeni przed Majestatem Boga i Zbawiciela swego, który właśnie zstąpił na ołtarz i ofiarował się przez ręce kapłana pod ubożuchną postacią chleba i wina za ich i całego świata grzechy.

Skończyła się Msza św. Piotr z żoną podnieśli się, zostawiając na kamieniach posadki ślady łez obfitych, on łez żalu i radości, ona łez radości i wdzięczności. Daj nam Boże wszystkim łez takich całe wylewać potoki!

Zadzwoniono do Komunii św.; oboje przystąpiwszy do krutek z największą pokorą i widocznym rozrzewnieniem przyjęli Chleb anielski, przyjęli Ciało i Krew Najświętszą Zbawiciela, zadatek nieomylny żywota wiecznego i chwalebego Zmartwychwstania. I czegoż im jeszcze było potrzeba? Byli pojednani z Bogiem, Boga żywego przyjęli do serc swoich, mieli więc wszystko, czego tylko człowiek tu na świecie pragnąć może!

To też pomodliwszy się jeszcze przez czas nięjaki, wyszli z kościoła. Piotr nie mogąc dłużej powstrzymać wybuchu radości, nie zważając na przechodzących ludzi, rzucił się żonie na szyję i ściskając ją, zawołał:

— O moja żono kochana, czemuś mię też prędzej do Spowiedzi nie zaprowadziła! Jakim teraz szczęśliwy, jaki rad, wypowiedzieć ci nie zdołam! Ale już teraz uwierzysz mi, że dotrzymam com obiecał?

— Teraz wierzę, że dotrzymasz, — odrzekła żona. — Bogu Najwyższemu niech będzie cześć i chwała za miłosierdzie, jakie okazał nad nami! A teraz spieszmy ku domowi, bo mamy dziś jeszcze wiele do czynienia, a tobie wnet czas iść do warsztatu.

Tegoż dnia z rana przyszedłszy do tokarni, dowiedział się Kazimierz najprzód, że zeszedł nocy w tokarni coś chodziło i toczyło; że to pewnie był duch zmarłego czeladnika Zygmunta i że nikt nie odważył się tam zajrzeć.

Potem dowiedział się od Mikołaja, że pan Karol chce Piotra oddalić ze swego warsztatu,

bo już mu za często bryka i już znowu drugi dzień nie stanął do roboty.

— Ot szkoda Piotra, pocziwy był człowiek, — dodał Mikołaj; — żeby w tego Szrajbera piorun palnął, że go tak rozpoił!

Dowiedziawszy się o tem Kazimierz, pobiegł natychmiast do pana Karola i prosił go o przebaczenie dla Piotra, zapewniając, że Piotr już nigdy nie będzie się upijał, że odtąd będzie pewnie najlepszym i najporządniejszym robotnikiem.

Nie chciał zrazu przystać pan Karol bo mówił:

— Oto widzisz, mój Kazimierzu, miał mi Piotr wczoraj wieczorem oddać swoją robotę, która była zamówiona, a wiesz, że lubimy słowa dotrzymywać; tymczasem przez cały dzień w warsztacie się nie pokazał i robota jego zaległa.

— Robota jego jest gotowa, — rzekł na to Kazimierz.

— A któżby ją był ukończył? — zapytał się pan Karol. Wszak takiej roboty tylko Piotr mógłby się podjąć.

Kazimierz z uśmiechem poskoczył do tokarni, wziął z warsztatu Piotra ukończoną robotę i przyniósł panu Karolowi.

Ten zdziwiony, zapytał:

— Któż to zrobił?

— Duch dzisiejszej nocy, — odrzekł Kazimierz, śmiejąc się.

Zrozumiał go pan Karol, uściskał serdecznie, ucałował jak syna i rzekł:

— Ty figlarzu! to ty mi będziesz po nocach za drugich pracował, żebyś zachorował, żeby potem twoi rodzice za to proces mi wytoczyli? Poczekajno! muszę ja cię lepiej kazać pilnować w twojem łóżku!

A Kazimierz, dziękując panu Karolowi, zapytał się:

— Jakże, czy Piotr zostanie?

— A któżby tobie czego odmówił! — odrzekł pan Karol.

Kazimierz wrócił do tokarni z rozradowaniem obliczem, i wchodząc, zawołał:

— Zostanie Piotr, uprosiłem pana Karola!

A towarzysze jego, którzy pode drzwiami podsłuchiwali byli jego rozmowę, skoro Kazimierz wszedł, wszyscy razem rzucili się do niego, ściskali go serdecznie, wołając:



— Niech żyje Kazimierz, obrońca nieszczęśliwych!

Ledwie się uciszyło, a każdy stanął koło swego toczydła, kiedy się drzwi otworzyły, i wszedł Piotr Stropski.

Zwykle dawniej po takiej przerwie w swojej robocie i po takiej pijatyce przychodził do tokarni bardzo szumnie, z czapką na głowie, ze śpiewką hulacką na ustach, jak gdyby coś bohaterkiego był popełnił, że się upijał, a jego towarzysze tedy zwykle żartowali sobie z niego, podrzeźniali po nim, dokuczali mu, a on jak mógł, tak im się odcinał. — Teraz wszedł cichutko, z odkrytą głową, poważnie, w twarzy jego widać było wstyd i żal. Pozdrowiwszy wszystkich razem, przystąpił do Kazimierza. Porwał go za rękę, ścisnął ją silnie, chciał coś mówić, lecz był tak rozczulony, że łyż cisnęły mu się do oczu... i słowa nie powiedziawszy odwrócił się szybko, poszedł do swojego toczydła siadł i pracował spokojnie.

Zadziwiło wszystkich to postępowanie niezwyczajne Piotra, lecz nie przeszkadzali mu, nie zaczepiali go, bo dostrzegli w nim ogromnej zmiany...

Warczały toczydła, trzaski pryskały, dłutka dłubały, a wspólnej pracy wspólna towarzyszyła piosnka, która i serce rozweselała i do pracy zagrzewała.

I tak skończył się dzień, ważny dla Piotra, a pełen miłych wspomnień dla Kazimierza.

Wieczorem Kazimierz ubrawszy się, wyszedł na ulicę, chcąc odwiedzić na Pradze starego garbarza, który nie trudnił się już rzemiosłem, lecz siedział spokojnie na swoim gospodarstwie, składającym się z porządnego domku i dostatecznego kawałka gruntu. Najchętniej Kazimierz tam do niego uczęszczał na pogawędkę, bo garbarz opowiadał mu różne dzieje, na które sam patrzył, lub w których sam brał udział.

A opowiadania jego tem więcej zajmowały Kazimierza, że garbarz znał się dawniej bardzo dobrze z jego ojcem Stefanem, z którym nawet razem w tych samych szeregach wojenkę odbywał, był też i nieco podobien do jego ojca z tego, że jak ojciec Stefana miał kresę przez twarz, tak garbarz szczyił się ogromną blizną na czole.

Puścił się więc Kazimierz ku Pradze; aż tu nagle słyszy za sobą spieszne kroki, a obró-

ciwszy się, widzi szybko za sobą idącego człowieka, w którym wnet poznaje Piotra.

Ten przystąpiwszy do niego, nieśmiało odezwał się:

— Panie Kazimierzu, nie chciałbyś nas odwiedzić?

Namyślił się chwilę Kazimierz, ale pomyślawszy sobie, że do garbarza szedł dla własnej przyjemności, a u Piotra możeby coś dobrego mógł uczynić, odpowiedział:

— Chętnie pójdę z wami, panie Piotrze!

Kiedy tak idąc obok siebie zbliżyli się do mostu prowadzącego na Pragę, a Kazimierz chciał go minąć, rzekł Piotr, wskazując na most:

— Tędy, panie Kazimierzu!

— Jakto? — odrzekł Kazimierz zdziwiony; wszakże nie tędy... lecz uciął w mowie bo nie chciał się wydać, że znał kiedykolwiek Piotra mieszkanie.

— A Piotr rzekł:

— Od dzisiaj... tędy droga do mnie.

Domyślił się z tego Kazimierz, że Piotr się przeprowadził dnia dzisiejszego, że kiedy on sam pracował w warsztacie, żona jego tymczasem przeniosła ruchomości gdzieindziej. — I szli obaj w milczeniu, jeden obok drugiego, przeszli most przeszli ulicę jedną, drugą, trzecią, aż ku wielkiemu Kazimierza stanęli przed schludnym, białym domkiem garbarza.

— Wszak tu mieszka Bartłomiej, garbarz, zawołał Kazimierz.

— A my u niego, odrzekł Piotr; proszę za sobą!

Wszedł Piotr do domu, a za nim Kazimierz. Sień jasna dzieliła domek na dwie części. Po lewej stronie były drzwi; te otworzył Piotr i wskazując do pokoju, rzekł:

— Oto moje mieszkanie.

Pokoik był czysty i widny, okienka jasne, ściany białe, sprzęty najpotrzebniejsze proste wprawdzie, ale chędogie. Nad jednym z łóżek wisiał ów znany nam obraz Matki Bożkiej, a przed nim lampka. Z tego pokoiku prowadziły drzwi do drugiego niniejszego, z którego dolatywała miłym głosem dziewczęcym śpiewana piosenka, jaką to po naszych domach śpiewają nad kołyskami dzieci. Głos ten poznał Kazimierz, był to głos Zosi nad małym braciszkiem.

# HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Na nieszczęście dla kolonii umarł Bellemont w dniu 16 marca 1701 r., właśnie gdy liberalna jego polityka byłaby przyniosła kolonii korzyści. Po nim nastąpił Edward Hyde, rozpustnik i oszust, jakich mało, który przez siedm lat był plagą prowincyi. Prześladował wszystkie sekty chrześcijańskie, wyjąwszy kościoła anglikańskiego; sprzeniewierzył publiczne pieniądze, zaciągnął mnóstwo długów i przy wszystkich okazjach był nieprzyjacielem wolności ludu. W r. 1708 został odwołany i od tego czasu aż do r. 1732 kiedy William Cosby został mianowany gubernatorem, dozwolili zastępcy króla szerzyć się ideom wolności demokratycznej.

Wola i głos ludu poczęły wywierać wpływ potężny na zarząd spraw publicznych. Rip Van Dam, „człowiek ludu” był zastępcą gubernatora, gdy Cosby przybył; wnet powstał między nimi spór, z czego powstały dwie partye: demokratyczna po stronie Van Dam’a i arystokratyczna po stronie gubernatora. Partye te zatrzymały nazwę „Whigs” (republikanów) i „Tories” (rojalistów) aż do końca wojny rewolucyjnej w r. 1783.

Od czasu przybycia Cosby’ego aż do początku wojny francuzko-indyańskiej oprócz zatargów stronnictw, historia nie podaje nam nic szczególnego.

## ROZDZIAŁ III.

### Massachusetts.

Wspomnieliśmy już poprzednio o Gosnoldzie i innych, krórczy przybywszy do Anglii chwalili pięknosc i zyznosc kraju, który dziś nazywamy Nową

Anglią. W r. 1607 przybył George Popham z 100 emigrantami nad ujście rzeki Sagadahoc czyli Kennebeck, gdzie wybudowano małą warownię, magazyn i kilka chat. Pozostało tam tylko 45 ludzi, reszta wróciła do Anglii. Pozostali nazwali osadę „St. George”. Nastąpiła okropna zima; magazyn i część żywności się spaliła, a wielki mróz, jako i głęboki śnieg zamknęły lasy i wody rybołowcowi i myśliwcowi. Obawiano się głodu — lecz nim ten nastąpił, przysłała pomoc. Jedyny tylko człowiek umarł, a tym był Popham. Drudzy utracili odwagę i wrócili do Anglii (1608). Prowadzono wprawdzie handel z Indyanami, lecz nie zakładano osad.

Dotąd znane było tylko wybrzeże. Dopiero gdy kapitan John Smith, filozof i bohater przybył, puszczono się w głąb kraju i zbadano dzisiejszą Nową Anglię. Smith na czele ośmiu ludzi tylko odwiedził wszystkie okolice, wyrysował mapę i przedłożył ją księciu Karólowi, który później będąc królem, został stracony. Ten był uradowany ze sprawozdania Smith’a i potwierdził nazwę nowej prowincyi, którą Smith przewał Nową Anglią; lecz jak to zwyczajnie się działo, tak i teraz zaciemniły zbrodnie blask odkrycia. Hunt, kapitan jednego z okrętów zdradzieckim sposobem zabrał ze sobą 27 Indyan, między nimi naczelnika Squanto, popłynął z nimi do Hiszpanii i zaprzedał niektórych w niewolę. Z podobnych spraw powstały później od Florydy aż do Nowej Fundlandyi pomiędzy czerwonoskórcami i białymi krwawe walki.

W tym czasie, bo około roku 1620 przybyła garstka pielgrzymów z Hollandyi, dokąd się byli udali przed prześladowaniami anglikańskimi. Powiemy poniżej, co to byli za ludzie.

Król Henryk VIII, król Anglii, mający tytuł „Obrońcy Chrześcijaństwa” wystąpił przeciw Pa pieżowi, ponieważ tenże nie zezwolił na małżeństwo jego z Anną Boleyn, gdyż prawną żoną Hen-



ryka była Katarzyna z Arragonu. Parlament uznał władzę królewską w sprawach kościelnych. Henryk więc został głową kościoła anglikańskiego. Ktokolwiek wyznawał inną wiarę, stawał się kacerzem i tem samym był zbrodniarzem; wolność myśli lub zdania była zbrodnią. Henryk zatrzymał niektóre ceremonie kościoła rzymsko-katolickiego, lecz nie uznawał władzy Ojca św. Lud poznał wnet, iż zmiana religii nie przyniosła mu żadnych korzyści. Edward, syn Henryka, zaprowadził w Anglii liberalny protestantyzm, lecz wkrótce i tu zaszedł spór między zwolennikami Lutra i Kalwina. Anglikanie, jak powiedzieliśmy, zatrzymali wiele ceremonij kościoła katolickiego, drudzy zażądali zaś jak najwięcej pojedynczości w służbie Bożej i czystego, jak najmoralniejszego życia, dla czego nazwano ich Purytanami (czystymi). Wkrótce utworzyli też dość wpływowe stronnictwo w państwie (1550).

Marya zaś, córka Henryka VIII, starała się znów ustalić religię katolicką (1553). Prześladowano protestantów i kalwinistów. Marya nie panowała długo; po niej zasiadła na tronie pólśiostra jej, Elżbieta, protestantka, która chciała zaprowadzić jakąś mieszaninę pomiędzy katolicyzmem i protestantyzmem. Purytanie sprzeciwiali się temu, lecz to nie pomogło im nic. I Jakób zająwszy tron, występował zarówno przeciw katolikom jak i purytanom. Z walki wyszedł zwycięzko kościół anglikański. Część purytanów pod naczelnictwem pastora Jana Robinson uszła do Hollandyi (1608). Za ich przykładem poszli i inni. Lecz i w Hollandyi czuli się obcymi „pielgrzymami” i dla tego dostawszy pozwolenie od plymouckiej kompanii w Anglii, postanowili wyemigrować do Ameryki. Zakupili dwa okręta (Speedwell i Mayflower) i wypłynęli po kilkutygodniowym pobycie w Southampton w Anglii z tego portu w dniu 5 sierpnia 1620 r. Kapitan i załoga okrętu Speedwell stracili odwagę i wrócili do Anglii. Towarzyszył im także okręt Mayflower, lecz wypłynął znów z Plymouth w dniu 6 września z 41 familiami (101 głów) i przybył po 63 dniach podróży do Cape Cod. Nim wylądowano wypracowali ojcowie familij (41) konstytucyę, a Jan Carver został zamianowany gubernatorem. Nie wiedziiano gdzie wylądować i wysłano zwiady. Ci wybrali pustą okolicę nad zatoką Massachusetts i „pielgrzymi” wylądowali w dniu 22 grudnia 1620 r. w kraju pokrytym śniegiem i lodem. Miejsce, gdzie wylądowali, nazwali Nowym Plymouthem. Dzisiaj znajduje się tam kwitnące miasteczko. Przyszłość przedstawiała się przybyszom dość smutnie. Nim jedną wybudowano chatę, połowa mężczyzn była chorą wskutek mozołów i trudów wycierpianych. W dniu 1 kwietnia 1621 r. 46 już umarło; w dniu 3 kwietnia umarł gubernator i jego żona. Był czas, kiedy 7 tylko było zdrowych, którzy mogli usługiwać drugim. Szczęściem było, że Indyanie, których właśnie nawiedziła zaraza, nie zaczęli ich. Pod-

czas wiosny i lata wyzdrowieli; było dość zwierzyny w lasach, a ryb w wodach; poczęli siać i zbierać i nareszcie przybyły im posiłki ze starego kraju. Był to pierwszy początek stanu Massachusetts.

Można powiedzieć, że Indyanie przyjęli „pielgrzymów” przyjaźnie; darowali im znaczny kawał kraju i zawarli z nimi przymierze, które nie zostało złamane przez 50 lat. Naczelnikiem plemiona Wampanongów (tak się nazywało to plemię), był Samoset, a „sachem'em” Massasoit, który był zadowolony, że biali byli jego przyjaciółmi, gdyż się obawiał Canonims'a, potężnego naczelnika Narragansett'ów.

Po śmierci Carver'a zajął urząd jego William Bradford, i sprawował go przez lat 30. Przez lat 4 musieli koloniści walczyć z różnymi niedostatkami, a nawet o mało co nie wymarli z głodu. W jesieni pierwszego roku przybyło do nich jeszcze 35 emigrantów, a w lipcu 1622 jeszcze 63; ci ostatni nie pozostali z pierwszymi osadnikami, lecz udali się do Wissagusett (dzisiaj Weymouth), aby odrębną założyć osadę. Byli to po większej części ludzie leniwi i niedbali. Zamiast pracować, okradali Indyan, przez co ich tak rozjątrzyli, iż ci postanowili ich wyniszczyć. Szczęściem doniósł o tem Indyanin przyjazny kolonistom w Plymouth, którzy wysłali kilkunastu ludzi swym braciom na pomoc. W potyczce, która nastąpiła, zostało kilku Indyan zabitych, co ich tak przestraszyło, iż zawarli z Anglikami pokój. Osada w Wissagusett nie utrzymała się jednakowoż, gdyż większa część osadników wróciła do Anglii.

W r. 1627 rozparcelowali osadnicy rolę im odstąpioną; na każdego z nich przypadło 20 akrów. W tym samym czasie zmieniono zarząd kolonii. Nasamprzód rządził nią gubernator i jego pomocnik, następnie dodano mu pięciu, a w r. 1630 18 pomocników. W r. 1639 dodano do zarządu także dusz pasterza kolonii.

Nietolerancya króla Karola I-go zniewoliła jeszcze wielu innych tak nazwanych niekomformistów udać się do Ameryki. W r. 1624 założono kolonię w Cape Ann a w roku 1628 przybył Jan Endicott na czele 100 ludzi, którzy założyli osadę w Naumkeag (dzisiaj Salem). W dniu 14 marca 1629 r. nazwano wszystkie te osady kolonią nad zatoką Massachusetts. Kolonia w Salem powiększała się coraz bardziej, bo już w lipcu 1629 przybyło trzech pastorów na czele 100 ludzi do tej miejscowości. Część ich odłączyła się jednakowoż i założyła osadę w Mishawam (dzisiaj Charlestown). W lipcu 1630 przybył John Winthrop z 300 familiami, które założyły osady Dorchester, Roxburg, Watertown i Cambridge. Gubernatorem całej kolonii został następnie obrany Winthrop. Ten w towarzystwie innych przyjaciół wybudował kilka chat na półwyspie Shawmut, które były początkiem dzisiejszego miasta Boston; wtenczas atoli nazwano miejsce to Tri-Mountain, a to z powodu,



że na półwyspie owym znajdowały się trzy pagórki.

Choroba i śmierć nawiedziły także młodą kolonię i jeszcze przed grudniem 1630 r. umarło 300 mieszkańców; lecz drudzy nie dali się przez to odstraszyć i pracowali odważnie dalej. W roku 1631 zwołano konwencyę ludu, na której postanowiono wybierać zarząd kolonii przez mężów wolnych tylko (mężami wolnymi nazywano tych, którzy byli członkami kościelnymi w obrębie kolonii). W roku 1634 zaprowadzono rząd demokratyczny.

Purytanie, którzy sami byli ofiarami nietolerancyi, ze swej strony nie tolerowali także innych wyznań. Byli tak zaciętymi, iż wygnali z kolonii jednego ze swych pastorów w Salem, Rogera Williams, który z kilku zwolennikami w zimie 1636 r. był zmuszony opuścić kolonię, ponieważ tendencye jego były liberalnemi. Ten sam Williams stał się założycielem stanu Rhode Island.

Polityczne wypadki w Anglii zniewoliły bardzo wielu do opuszczenia ojczyzny i udania się do Ameryki. W r. 1635 przybyło 3000 emigrantów, pomiędzy nimi ludzie wpływowi i bogaci, do Nowej Anglii.

W r. 1643 doszła liczba kolonistów do 30,000, którzy mieszkali w 50 wsiach lub miasteczkach, tworzących 4 odrębne kolonie: Plymouth, Massachusetts, Connecticut i New Haven. Te utworzyły w powyżej wymienionym roku związek, bo widziały się zaczepionemi przez Hollandczyków, Francuzów, Indian i nawet przez rząd angielski. Główny zarząd prowadziła komisya złożona z 8 członków kościelnych, po dwóch z każdej kolonii, którzy się zgromadzali przynajmniej raz w rok, lub częściej i obradowali nad sprawami ogółu. Nie posiadali atoli władzy wykonawczej. Rozważano ich uchwały, a każda kolonia mogła je przyjąć lub odrzucić. Związek ten istniał przez 40 lat przeszło (1643—1686), podczas którego czasu rząd w Anglii trzy razy zmienionym został.

Z utworzeniem związku zmieniono także prawa. Dotychczas obradowali reprezentanci kolonistów w jednej sali z gubernatorem i radą. Lecz teraz utworzono osobną izbę reprezentantów, jaką i teraz posiadamy w każdym stanie i w kongresie Stanów Zjednoczonych. Koloniści ci sympatyzowali zawsze z republikanami w Anglii i dążyli za zniesieniem królestwa. W Cromwell'u znaleźli prawdziwego przyjaciela i obrońcę. Działo się im więc dobrze i z czasem rozwinął się dość znaczny handel z wyspami zachodnio-indyjskimi, z kąd okręty ich przywoziły złoto i srebro w sztabach. W r. 1652 przywłaszczyły sobie kolonie przywilej niezależnej władzy i poczęły wybijać monetę srebrną — pierwszą w obrębie Stanów Zjednoczonych.

W tym czasie okazała się w Nowej Anglii nowa sekta religijna, tak nazwani kwakerzy (quakers), których niezmiernie prześladowano — jednych wieszano, drugich bicowano i t. d. Im więcej ich

prześladowano, tem więcej przybywało ich z Anglii. Gdy jednak wielu z purytanów samych zaczęło szemrać na taką nietolerancyę, zniesiono prawa karne przeciwko kwakerom.

Karol II wstąpiwszy na tron Anglii zniósł niektóre przywileje, któremi Cromwell kolonistów był obdarzył, co ich niezmiernie rozjątrzyło; ód tego czasu występowali coraz dobitniej przeciw tyranii królewskiej. Pomimo tego wzmagał się dobrobyt kolonii wciąż, gdy nagle zadała mu cios straszliwy wojna znana w historyi pod nazwą „wojna króla Filipa”.

Massasoit pozostał zawsze przyjacielem białych. Przez dwanaście lat miał także przyjazne uznania dla nich Metacomett czyli Filip, syn poprzedniego. Gdy zaś widział, że Anglicy coraz więcej w posiadłości jego wkraczają, że nawet grożą jego ludowi niewolnictwem, wzbudził się w nim patriotyzm. Wraz z innymi naczelnikami plemion nowoangielskich uknuł spisek przeciw Anglikom. O tym czasie było już 400 Indian chrześcianami. Jeden z nich zdradził plan władzom w Plymouth, za co go rodacy zamordowali. Anglicy powiesili za niego trzech, których posądzali o morderstwo. Pożoga wojny rozpałała się natychmiast.

Filip napadł Anglików w Swanzey, 35 mil na południe Plymouthu, w dniu 4 lipca 1675 i wymordował wielu osadników, niewiast i dzieci, właśnie gdy wracali z kościoła. Osadnikom przyszli na pomoc ludzie z Bostonu i okolicy. Filipa obleżono w pewnym bagnie; zdołał jednak uciec do Nipumków, plemienia bardziej w kraju mieszkającego, którzy w 1500 wojowników napadli Anglików mieszkających w Connecticut; ci zaś zawarli przymierze z Narrangasettami.

Wojna toczyła się przez dłuższy czas. Indianie mordowali Anglików, gdzie tylko mogli, ci zaś mścili się za to. W Massachusetts, Rhode Island i Connecticut toczyła się walka. Z czasem wybuchły niesnaski pomiędzy Indianami a wynikiem ich było, że przeszło 2000 Indian padło a król Filip, ostatni z Wimpanoagów został zabity i rozćwiartowany, przez co wojna króla Filipa została ukończoną w r. 1676.

Pomimo ciosu zadanego kolonii przez tę wojnę, poczęła ona wnet na nowo się wzmacniać w siłę i bogactwa, lecz tyrania króla Karola i następcy jego Jakóba II nie dała im pokoju. Gubernatorzy przysyłani przez królów uciemieźali lud coraz bardziej, gdy nadeszła wiadomość, że król Wilhelm osiadł na tronie angielskim. Koloniści uwięzili gubernatora i 50 jego zwolenników i odesłali ich okutych w kajdany do Anglii. Lecz właśnie wtenczas wybuchła wojna pomiędzy Anglią i Francją, która trwała przez lat siedm i jest znaną w historyi amerykańskiej pod nazwą wojny króla Wilhelma.

(Dalszy ciąg nastąpi).